Tomasz Czajkowski

Czasoprzestrzeń pamięci

Na tropach Krawieckiej 41

Na sąsiedniej stronie: fragmenty reportażu „Krawiecka 41" Mariusza Kamińskiego (Radio Lublin, emisja 27.05.2001).

Izrael, 20 marca 2001 roku

Autobus linii 222, kursujący na trasie Tel Awiw–lotnisko Ben Guriona w Lod zatrzymał się w punkcie kontrolnym przed wjazdem na teren portu lotniczego. Do autobusu wsiadł uzbrojony w uzi agent ochrony i wolno idąc, dokładnie zlustrował wszystkich pasażerów. W tym samym czasie ktoś inny sprawdzał bagażnik autobusu. Przed i za nami kontrolowano samochody osobowe. Wszystko było w porządku, więc za chwilę podjechaliśmy do hali odlotów. Tutaj również na każdym kroku widoczni byli agenci ochrony. W regularnych, kilkuminutowych odstępach sprawdzano każdy centymetr powierzchni.

Odlatujących czekała jeszcze, przypominająca przesłuchanie, rozmowa z pracownikiem ochrony lotniska. To następna z metod minimalizowania niebezpieczeństwa. Przyszła kolej na mnie. Po jednej stronie stołu – ja, po drugiej – urzędniczka, pomiędzy nami mój bagaż. Kobieta przewertowała paszport i bilet, a następnie przystąpiła do zadawania pytań: Z jakiego powodu wybrał pan międzylądowanie w Istambule? Czy pan sam pakował bagaż i gdzie on się znajdował w ciągu ostatnich 48 godzin? Czy obserwował pan pakowanie zakupionych prezentów? Czy wiezie pan środki ochrony osobistej, na przykład nóż? Czy w czasie swojego pobytu w Izraelu wyjeżdżał Pan za granicę, na przykład do Egiptu lub Jordanii? Czy ktoś Pana zaczepiał na lotnisku? Czy ktoś, nawet spośród izraelskich znajomych, przekazał Panu jakąś przesyłkę dla kogoś w Polsce?

Po pytaniach wstępnych urzędniczka przeszła do szczegółów.

– Co pan robił i gdzie przebywał w czasie swojego pobytu Izraelu?

– Pierwsze trzy miesiące byłem wolontariuszem w kibucu Bar Am. Potem pojechałem do kibucu Yakum, gdzie spędziłem również trzy miesiące. Ostatnie dwa miesiące znowu mieszkałem w Bar Am.

– W jaki sposób dostał się pan do Bar Am?

– Po przylocie do Izraela zgłosiłem się do Kibbutz Program Center w Tel Awiwie i tam przydzielili mi miejsce.

– Skąd pan wiedział o KPC?

– Z Internetu.

– Dlaczego przeniósł się pan później do Yacum?

– Chciałem być bliżej Tel Awiwu.

Urzędniczka wyraźnie się ożywiła.

– Z jakiego powodu?

– Zbieram materiały do pracy magisterskiej o lubelskich Żydach. Chciałem przeprowadzić z nimi wywiady, a oni mieszkają właśnie w Tel Awiwie i okolicy.

– Jak pan poznał tych ludzi?

– Kontakt z nimi umożliwił mi pan Aleksander Szryft, przewodniczący Ziomkostwa Lubelskiego w Izraelu.

– A jego jak pan poznał ?

– Poprzez Jakuba G.

– Ale co właściwie było powodem pana przyjazdu do Izraela? Zwiedzanie i bycie wolontariuszem w kibucu, czy

Aleksander Szryft, 11 marca 2001. Fot. Tomasz Czajkowski.

przeprowadzenie wywiadów z tymi starszymi ludźmi?

– Oba pomysły były ściśle powiązane. Przyjechałem do Izraela, by spotkać się z ludźmi z Lublina, a szczególnie z Mosze Wasągiem. To był podstawowy cel. Natomiast pobyt w kibucu był środkiem, aby ten cel osiągnąć. Umożliwił mi poznanie tego kraju, ale – co bardzo ważne, nie tylko oczami turysty.

Na tym przesłuchanie zakończyło się. Najwyraźniej przekonałem urzędniczkę, że nie stanowię niebezpieczeństwa i tym samym uniknąłem szczegółowej kontroli bagażu.

Tak wyglądały moje ostatnie chwile w Izraelu. Spędziłem tutaj prawie osiem miesięcy. Jak właściwie zaczęła się moja przygoda?

Lublin, luty 1999 roku

Byłem wtedy studentem III roku Wydziału Politologii UMCS. Właśnie zaczynał się nowy semestr, a ja, w ramach mojej specjalności – samorząd i polityka lokalna, musiałem wybrać dodatkowy fakultet. Tak trafiłem po raz pierwszy do Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN". Tomasz Pietrasiewicz, dyrektor Ośrodka a jednocześnie prowadzący nasze zajęcia, zaproponował kilka tematów, które mogliśmy zrealizować w ramach fakultetu. Grupa wybrała projekt zdokumentowania historii i współczesności jednego z domów lubelskiego Starego Miasta. Ja natomiast przyjąłem propozycję, by odtworzyć historię nieistniejącego już budynku z nieistniejącej już również lubelskiej Dzielnicy Żydowskiej. Nie miałem wtedy zielonego pojęcia ani o Żydach, ani o dziejach Lublina. Historię znałem jedynie ze szkolnych podręczników.

Pierwszą osobą, do której skierował mnie Tomasz Pietrasiewicz, był Marian Łoza, znany lubelski modelarz. Pan Łoza zakończył właśnie kwerendę w lubelskim Archiwum Państwowym. Szukał tam dokumentów koniecznych

Tomasz Czajkowski: Dostałem informację, że istnieje możliwość wyjazdu do Izraela i zostania wolontariuszem w kibucu. Pojechałem, żeby poznać młodych ludzi z całego świata, Izrael i instytucję kibucu. Wtedy nic mi to nie mówiło. Ktoś kiedyś powiedział, że nie można poznać Izraela, nie będąc w kibucu. Trafiłem do takiego, który okazał się, jak niektórzy Izraelczycy mówią, ostatnim prawdziwym kibucem – Bar Am. To było pasjonujące – funkcjonowanie w społeczności opartej na zasadach komunizmu. Komunizm w kibucach należy kojarzyć ze słońcem, z pracą ciężką, ale na równych zasadach dla wszystkich, z wypoczynkiem. Oni się dziwili, że ktoś przyjeżdża z Polski, nie jest Żydem i pracuje na rzecz państwa Izrael, na rzecz kibucu. W kibucach praktycznie nie ma Polaków, słyszałem może o 2-3 osobach, które w ciągu kilku lat tam były.

* * *

Tomasz Pietrasiewicz: Miałem w Bramie Grodzkiej zajęcia ze studentami z kierunku samorządowego. Rozdawałem im różne tematy, żeby przygotowali np. historię ulicy, historię synagogi, takie „uczenie miasta", jak ja to nazywam. Kończą się zajęcia, ludzie wychodzą, jeden ze studentów zostaje i mówi, że bardzo by chciał podjąć się badań nad historią kamienicy. Zaproponowałem budynek, w którego materiałach archiwalnych znaleźliśmy spis lokatorów, jedyny, jaki przetrwał. Wiedziałem, co to znaczy, jak wielki to jest wysiłek, ile tam trzeba przeorać materiałów. Wyobrażałem sobie, że powinna to robić grupa studentów, a tu przyszedł jeden.

* * *

Tomasz Czajkowski: Wtedy już myślałem, że to może być temat na pracę magisterską. Dlaczego pisać książki o prezydentach, działaczach społecznych, a nie o zwykłych ludziach, którzy mieszkali kiedyś w jakimś domu, na jakiejś ulicy, o której istnieniu większość z nas nie ma nawet pojęcia? Jaki jest tego sens głębszy? Myślę, że przełamać milczenie, przywrócić historię tych ludzi do historii Lublina. Dla mnie osobiście to było wtedy po prostu sprawdzenie się, zadanie: zdobyć jak najwięcej informacji o nich. Na ogół byli to ludzie ubodzy, bezrobotni albo chorzy, albo utrzymywani przez opiekę społeczną. Mam tylko 54 nazwiska głównych lokatorów. W ogóle nie wiedziałem, że była taka ulica jak Krawiecka w Lublinie. To była dla mnie nowość, odkrycie.

* * *

Marian Łoza: Wszystko zależy od tego, jak się jakiś temat komuś podsunie. I tak było z Tomkiem, że po prostu zainteresował go ten tajemniczy świat, świat niedomówień. Przyjechałem do Lublina w 1951 roku, więc widziałem te zgliszcza po spalonym getcie lubelskim – kikuty, spychy... To jest odkrywanie, to jest archeologia, co Tomek zrobił.

* * *

Tomasz Czajkowski: Zacząłem od Archiwum Lubelskiego. To była nowość w moim życiu – nie miałem wcześniej do czynienia z takimi instytucjami jak archiwum czy Sąd Wojewódzki, gdzie są księgi wieczyste. Miałem po prostu dokument z nazwiskami. Po pierwszym okresie poszukiwań w Archiwum nic nie znalazłem i trochę się zniechęciłem. Chociaż myślałem cały czas, że jest jakaś droga dotarcia do tych dokumentów. To było właściwie takie uczucie, że „można, ale ja nie potrafię" – czyli że coś jest, jestem obok tego, ale jak znaleźć drogę? Nie było drogi. Było po prostu szukanie, przeglądanie kilkudziesięciu czy kilkuset teczek po kilkaset stron – taka była droga.

Mosze Wasąg w szeregach I Armii Wojska Polskiego, w okresie II wojny światowej. Archiwum domowe Mosze Wasąga.

do zbudowania w Ośrodku Makiety Lubelskiego Zespołu Staromiejskiego. W zamyśle dyrektora, to on mógł nadać kierunek mojej pracy. Jak się okazało, był to strzał w dziesiątkę. Marian Łoza natrafił w Archiwum na *Spis lokatorów domu przy ulicy Krawieckiej Nr 41 w Lublinie, należącego do Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Lublinie* z 1939 roku, który stał się punktem wyjścia dla moich poszukiwań.

Dlaczego właśnie ten dokument zwrócił jego uwagę? Marian Łoza przejrzał dokumentację każdego domu Dzielnicy Żydowskiej i tylko w jednej teczce znalazł zachowany spis lokatorów. Na dwóch kartkach formatu A4 zapisano w nim równym maszynowym pismem imiona, nazwiska, stan rodzinny oraz zawód pięćdziesięciu czterech mieszkańców kamienicy, a także nazwy trzech organizacji mających siedzibę w tym domu: Towarzystwa Dobroczynnego „Pas Leorchim", kibucu „Ha Szaron" i przedszkola „Ognisko", prowadzonego przez Związek Kobiet Żydowskich w Lublinie.

Dzięki dociekliwości i skrupulatności Mariana Łozy, dostałem klucz do zaginionego, zupełnie mi dotychczas nieznanego świata. Po raz pierwszy czytałem dziwnie brzmiące imiona i nazwiska: Jankiel Goldman, Ruchla Fiszman, Abram Kranc, Aron Elzon, Estera Cang, Chil Korensztajn, Pinia Zyswaser, Moszek Garfinkiel, Jeremiasz Szklarz, Icek Nadelsztajn... Co to za ludzie? Skąd się wzięli? Co robili? I w ogóle, co to za ulica, ta Krawiecka? Nigdy o niej nie słyszałem, a tu czytałem, że mieszkał na niej czapnik, tragarz, wodonosz, hafciarz, dorożkarz, torebkarz, rymarz. Te zawody odeszły dawno temu wraz

Ul. Krawiecka. Fragment pocztówki ze zbiorów Muzeum Lubelskiego w Lublinie.

z tymi, którzy je kiedyś uprawiali. Po raz pierwszy poczułem, że spotkałem się z historią w bezpośredni sposób. Miałem ją dosłownie w ręku. Postanowiłem pójść tropem spisu lokatorów i poszukać informacji o domu przy ul. Krawieckiej 41 i jego mieszkańcach. Nie zdawałem sobie sprawy, na co się porywam.

Pierwsze kroki skierowałem do Archiwum Państwowego w Lublinie. Czego jednak miałem szukać? Łatwo jest dotrzeć do dokumentów urzędów, zakładów pracy czy organizacji, ale jak znaleźć informacje o stolarzu Chilu Korensztajnie, zamieszkałym w czerwcu 1939 roku w domu przy ul. Krawieckiej 41? Nikt nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Czekała mnie iście benedyktyńska praca. W dodatku bez gwarancji sukcesu. Najtrudniejsze były początki. Po dniach bezowocnych poszukiwań w Archiwum przeżyłem momenty zniechęcenia. Kiedy jednak natrafiłem na pierwszą informację, praca znowu nabrała sensu. Odczułem ogromną radość i satysfakcję. A jednak udało się! Udało się zburzyć, przynajmniej częściowo, mur zapomnienia.

Pierwszy etap mojego projektu zakończył się. Uzyskałem przeszło 150 dokumentów dotyczących kamienicy i jej mieszkańców. Nadszedł czas, by podjąć próbę odszukania choćby jednego z byłych lokatorów. Skontaktowałem się z Ziomkostwem Żydów lubelskich w Izraelu. Pewnego dnia nadeszła ta długo oczekiwana wiadomość. Żyje dwóch lokatorów interesującej mnie kamienicy. Jeden z nich – Mosze Wasąg mieszka w Tel Awiwie, drugi – Joseph Baum w Kanadzie. Później dowiedziałem się, że w kibucu Yad Mordechai mieszka jeszcze Szika Kacir, przygoto-

Mosze i Hana Wasągowie, 6 marca 2001. Fot. Tomasz Czajkowski.

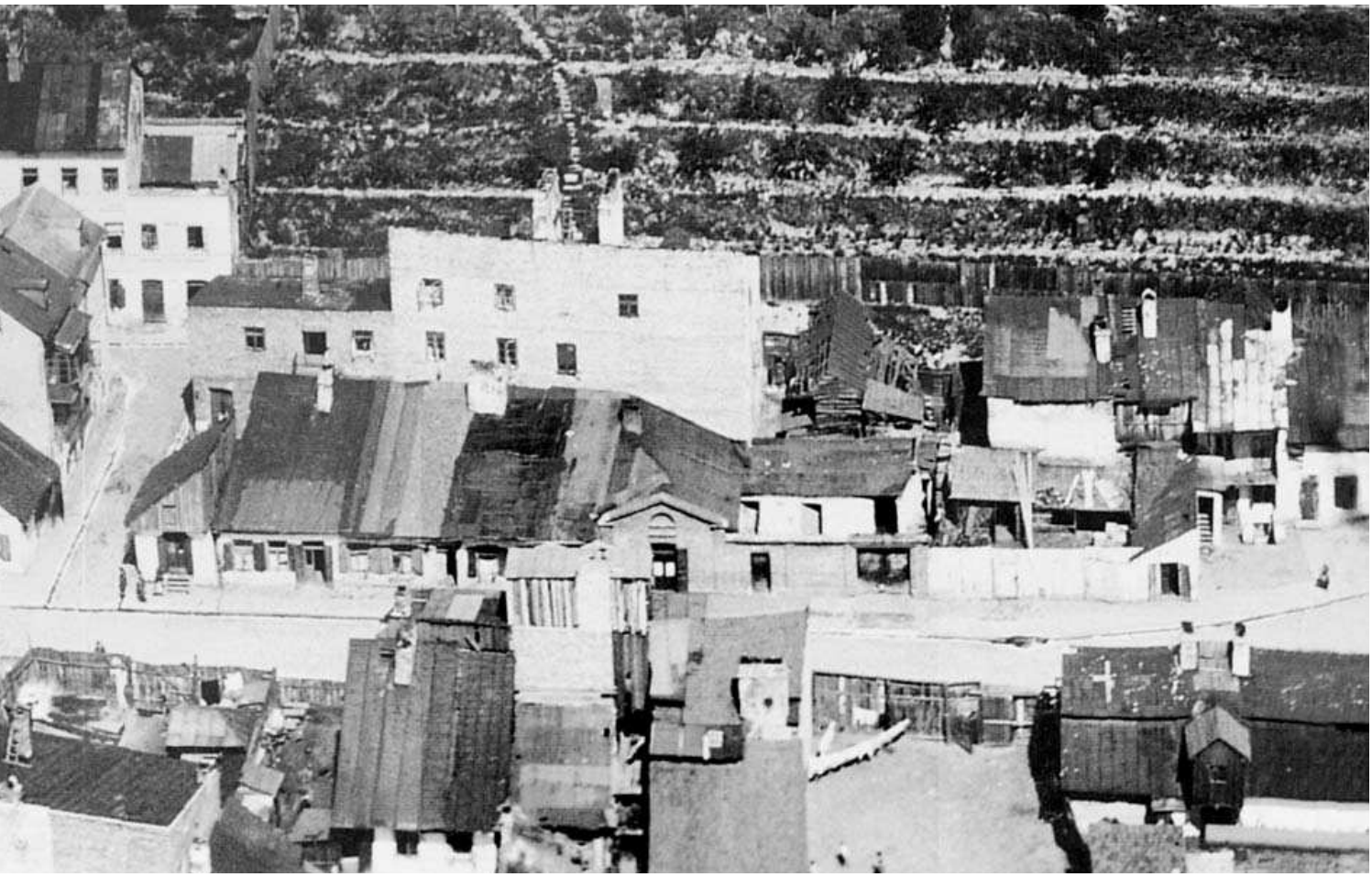

Szika Kacir. Kibuc Yad Mordechai, lipiec 2001. Fot. Aliza Salomon. Zbiory własne autora.

wujący się kiedyś w domu przy ul. Krawieckiej 41 do wyjazdu, do Palestyny.

Wiadomość z Izraela stała się przełomem w mojej pracy. Poczułem, że to, co robię, może być komuś potrzebne. Komu? Historii Lublina, jego obecnym mieszkańcom, mnie i dawnym lokatorom. Byłem pewien, że oni tak samo rozumują. Nie mogłem się doczekać spotkania z nimi. Moje intencje były szczytne, chciałem przecież przywrócić pamięć o nich, spodziewałem się więc, oczywiście w przenośni, „powitalnego komitetu". Czekała mnie jednak kolejna... lekcja pokory.

Izrael 2000

Każdy wolontariusz w kibucu Bar Am ma prawo (oprócz wolnych sobót, świąt żydowskich, oraz Bożego Narodzenia i Nowego Roku) do trzech wolnych dni w ciągu miesiąca (w Yakum – do dwóch). Wolontariusze łączą najczęściej wolne dni w jeden dłuższy urlop, by móc w tym czasie zwiedzić Izrael. Ja wyruszyłem tropem byłych mieszkańców Lublina. W Tel Awiwie spotkałem się z Mosze Wasągiem i Aleksandrem Szryftem, w Beer Szewie z Marianem Milsztajnem. Cel moich dociekań nie wywołał wcale entuzjazmu ze strony tych starszych ludzi. Byli raczej zdziwieni i zadawali pytania, których się nie spodziewałem.

– Dlaczego akurat ten dom na Krawieckiej 41?

– A kogo to w ogóle interesuje?

– Zostaw pan ten dom w spokoju i lepiej zajmij się pogromem kieleckim!

– Pisać pracę o jednym domu? To śmieszne. Pan powinien pisać pracę o całym Lublinie.

To był dla mnie szok. Nie rozumiałem, dlaczego ci ludzie nie doceniają mojego szczerego zainteresowania? Dlaczego nie chcą wracać do historii? Musiałem to wyjaśnić.

W 1939 roku mieszkało w Lublinie ponad 38 tysięcy Żydów, jedna trzecia mieszkańców. Toczyło się rozwinięte życie polityczne, społeczne, kulturalne, istniało wiele organizacji. Według moich rozmówców tym powinienem się zajmować, o tym napisać. A jedna kamienica? Choćby najokazalsza, zawsze pozostanie tylko jedną kamienicą. Tym bardziej, że budynek przy ul. Krawieckiej był brudny, obdrapany, a w środku żyła w biedzie masa ludzi i takim go zapamiętali dawni lokatorzy. W rozmowie z obcym człowiekiem niechętnie się do takich wspomnień wraca. W Polsce było szaro i brzydko. W Izraelu świeci słońce i jest pięknie. Ulicami przechodzają się urodziwi, szczęśliwi młodzi ludzie – duma narodu. Dzieci, wnuki, prawnuki moich rozmówców są wykształcone, mają dobrą pracę, dobrze im się wiedzie. O tym chcą opowiadać. Polska, pierwsza ojczyzna dawnych mieszkańców żydowskiego getta, nie była dla nich matką, a raczej macochą. Wcale jej nie było smutno, kiedy wyjeżdżali. Mają o to żal. W wywalczonym, w zbudowanym od podstaw Izraelu czują się nareszcie u siebie. Nie uogólniają, nie mówią – „wszyscy Polacy". Spędzili u nas lata młodości i pamiętają, że Polacy są różni. Inna sprawa, czy mówią o tym młodym Izraelczykom. Młody Polak, odgrzebujący nie zawsze wesołe wspomnienia, wzbudził w pierwszej chwili zdziwienie i niechęć, a mimo wszystko pomogli mi, służąc nie tylko informacjami. Dali mi dużo wiecej, niż mogłem się spodziewać: serdeczność i gościnę, tak potrzebną z dla od domu.

Lublin 1926-1939

Kamienica przy ul. Krawieckiej 41 (wcześniej ul. Podzamcze 547) od drugiej połowy XIX wieku należała do rodziny Krasuckich. W 1880 roku umieścili w niej Fabrykę Wyrobów Tytoniowych, która funkcjonowała do wybuchu wojny w 1914 roku, zdobywając medale za swoje wyroby. Po zakończeniu wojny, mimo prób ze strony właścicieli, nig-

dy już nie doszło do pełnego rozruchu fabryki. Drugiego marca 1925 roku Krasuccy ostatecznie pozbyli się nieruchomości. Kupiła ją Żydowska Gmina Wyznaniowa za 9 tys. dolarów amerykańskich. Szybko tego zakupu pożałowała. Nieruchomość pozostawała własnością Gminy przeszło szesnaście lat, od marca 1925 do sierpnia 1941 roku, kiedy to, na rozkaz władz niemieckich, zrównano ją z ziemią, a ludzi tam mieszkających (ponad 600 osób) wyrzucono na ulicę.

Ciekawe, że pierwotnie kamienica nie była przeznaczona do zasiedlenia. Z dostępnych źródeł wynika, iż zakupiono nieruchomość z myślą o utworzeniu w niej szkoły rzemieślniczej. Nie udało się odnaleźć dokumentów informujących, czy taka szkoła w ogóle powstała. O tym okresie opowiada Marian Milsztajn, zwany przez kolegów Mosze Gałech, czyli „Ksiądz", a mieszkający przed II wojną światową stosunkowo niedaleko od ul. Krawieckiej, na tzw. Błotnikach: „Pamiętam, że podwórko [kamienicy przy ul. Krawieckiej 41] było zawalone brudem, śmieciami. Jestem pewny, że pierwsze lata miejsce było niezamieszkane. Budynek straszył pustymi oczodołami. Wraz z ogromnym kryzysem w latach 1928-1929 ludzie tracili pracę i wyrzucano ich z wynajmowanych lokali. Szukali wtedy pustych, często rozwalających się budynków, za to bez komornego i gospodarza, gdzie na pewno było lepiej aniżeli na ulicy".

Pierwsi lokatorzy kamienicy Krawiecka 41 wprowadzili się prawdopodobnie w 1931 roku. Osiem lat później mieszkało tam w warunkach urągających ludzkiej godności około 300 osób. Ich pojawienie się i wynikające z tego problemy opisane są w piśmie Zarządu Gminy Wyznaniowej do Inspekcji Budowlanej: „Dom przy ul. Krawieckiej nie był kupiony z przeznaczeniem na zamieszkiwanie. Był on przeznaczony na szkołę rzemieślniczą. Gdy raz wybuchł pożar w dzielnicy żydowskiej czy też zawalił się jakiś inny dom, to Magistrat miasta Lublina (Wydział Opieki Społecznej), nie pytając Gminy o zezwolenie, ulokował tam kilkanaście rodzin, które następnie wpuszczały do domu każdego, kto się zgłaszał. W tych warunkach stan domu, który został zajęty przez Magistrat [...] na cele opieki społecznej, bo na pomieszczenia dla bezdomnych – pogarszać się musiał. Brak jest jednak przepisu, który by obowiązywał właściciela domu do troszczenia się o jego stan, jeżeli dom ten władze publiczne, jaką niewątpliwie w zakresie opieki społecznej jest Zarząd Miejski, zajął na cele publicznej opieki, przewidzianej ustawą".

Zarząd Miejski w Lublinie odpowiedział zaś, że w domu tym „bezdomnych nie umieszczał", w związku z tym żadnych zobowiązań wobec ludzi tam mieszkających nie ma. Jak widać, nie było komu ponosić kosztów koniecznych w budynku remontów, za to wprowadzali się tam wciąż nowi lokatorzy: pogorzelcy, wyeksmitowani. Tak było w przypadku rodziny Wasągów.

Rodzice Mosze Wasąga nie pochodzili z Lublina. Matka Rajzla urodziła się w Zwoleniu, a ojciec Chaskiel w Międzyrzecu Podlaskim. Tam również 13 września 1917 roku przyszedł na świat Mosze Wasąg. Miał troje starszego rodzeństwa: Szmuela, który zmarł w dzieciństwie, Froima Chaskiela oraz siostrę Hanę. W 1918 roku cała rodzina przeniosła się do Lublina. Zamieszkali w suterynie przy ul. Podwale 11, w tzw. polskiej części miasta. Ojciec pracował w jednej z żydowskich garbarni

Marian i Edwarda Milsztajnowie, 2001 rok. Fot. Tomasz Czajkowski.

Posesja przy Krawieckiej 41. Fragment planu z 1942 roku. Własność Mariana Łozy.

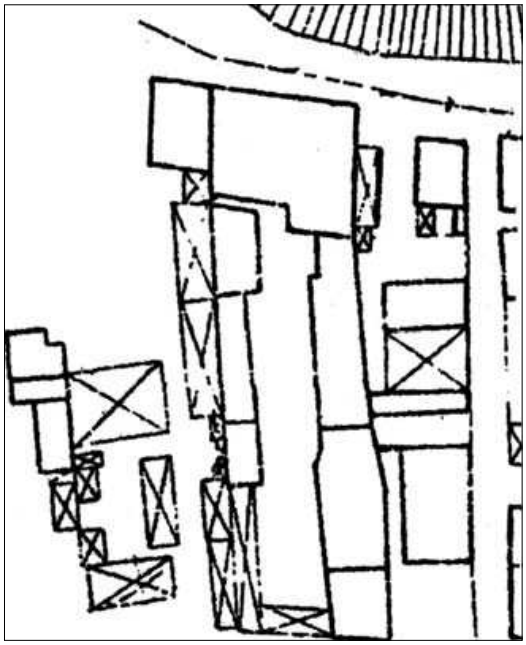

Tyły posesji przy Krawieckiej 41. Fragment pocztówki ze zbiorów Zbigniewa Lemiecha.

na Kalinowszyźnie. Zmarł, kiedy Mosze miał dwa lata. W 1933 roku rodzina opuściła suterynę w budynku przy ul. Podwale 11, ponieważ jego właścicielka przepisała nieruchomość na rzecz sióstr kanoniczek. Przeprowadzili się do pobliskiej kamienicy przy ul. Krawieckiej 41. Tak wspomina dziś tamte czasy Mosze Wasąg:

„W budynku na Podwalu była siostra Maria, która nas bardzo lubiła i powiedziała, że nie musimy płacić komornego, ale kiedy zmarła, od razu dostaliśmy eksmisję. Matka z trudem zarabiała na życie, choć brała każdą pracę, jaka tylko była. Trzydzieści osiem lat wtedy miała. Przyszli mocni ludzie, wzięli nasz cały majątek: trochę ciuchów, stół, krzesło, łóżka i poszliśmy mieszkać na Krawiecką, dziesięć minut drogi od Podwala. To był pusty dom i kto dostał eksmisję, łapał tam sobie pokój cztery metry na cztery i się wprowadzał. Magistrat polski nie wiedział, czy to legalne, bo dom należał do gminy żydowskiej. To było bardzo ubogie życie, po prostu nędza. Przecież to nie była kamienica dla lokatorów tylko fabryka. Ludzie podzielili fabryczną halę przegródkami z dykty, drzewa, dostawili prowizoryczne drzwi i tak powstały mieszkania. Kuchenkę miało się przez dach albo okno. Tam mieszkali tylko najbiedniejsi".

Do domu przy ul. Krawieckiej 41 przychodził także Aleksander Szryft. Dla niego i jego kolegów była to najkrótsza droga prowadząca na łąki Kalinowszczyzny, ale dom ten interesował ich z jeszcze jednego powodu:

„Były tam pozostałości maszyn, jakieś materiały, odpadki z produkcji i kolorowe pudełka z denkiem. Górne denko było ze szkła. Wykradaliśmy je więc z sali, gdzie leżały. Wymienialiśmy się nimi potem. Wiedziałem, że w tym domu mieszkali ubodzy ludzie, których nie stać było na czynsz. Znałem tam rodzeństwo Wasągów i kobietę, która pracowała latem jako kucharka na półkoloniach dla ubogich żydowskich dzieci. Dzieci dostawały śniadanie i obiad na stadionie przy ul. Siennej, gdzie odbywały się ich zajęcia, ale gotowano w domu na Krawieckiej 41. To był kawał drogi i taki jeden zdrowy facet dźwigał codziennie kotły z jedzeniem z Krawieckiej na Sienną".

W latach 1933-1939 kamienicę odwiedziło kilkanaście kontroli: sanitarnych, budowlanych i policyjnych. Każda stwierdzała antysanitarny stan nieruchomości zagrażający zdrowiu i życiu. Jednak kary nakładane na właściciela, czyli Gminę Żydowską, nie przynosiły efektu. W efekcie dom trzeba było poddać gruntownemu remontowi albo zburzyć. W obu przypadkach oznaczało to wyrzucenie na bruk 300 osób. Zdesperowani lokatorzy postanowili nagłośnić swoje problemy. 22 sierpnia 1935 roku w żydowskim dzienniku „Lubliner Tugblat"[1] ukazał się artykuł opisujący ich sytuację:

„Lokatorzy domu gminnego przy ul. Krawieckiej 41 przeżywają okropne noce. Dom jest w niebezpieczeństwie. Ściany lada chwila mogą się zawalić. Lokatorzy o własnych siłach próbowali podstawić słup w zagrożonem miejscu, ale gdy dotknięto ściany, ona natychmiast zawaliła się, na szczęście nikt nie ucierpiał. We wtorek 20 sierpnia wszy-

[1] „Lubliner Tugblat" („Dziennik Lubelski") – jedyny dziennik ukazujący się w Lublinie przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego. Osiągał nakład ok. 1 tys. egzemplarzy. Gazeta deklarowała się jako bezpartyjna. Pod względem edytorskim stała na dość niskim poziomie – miała skromną szatę graficzną, drukowana była na niskich gatunkach papieru.

scy lokatorzy wraz z żonami i z dziećmi udali się do Gminy Żydowskiej, żądając, by uratowano ich dach nad głową. Ale dokonanie remontu tego domu ma kosztować 50 000 złotych. Lokatorzy zatrzymali w Gminie kilku radnych i Członków zarządu z prezesem Halbersztadtem na czele, nie wypuszczając ich z lokalu. W sprawie tej odbędzie się dziś specjalne posiedzenie. Lokatorzy zbierają również podpisy wśród Radnych Gminy w sprawie zwołania specjalnego posiedzenia Rady Gminnej. Lokatorzy zagrożonego domu uważają, że Gmina może otrzymać specjalną pożyczkę w Miejskim Komitecie Rozbudowy na remont domu przy ul. Krawieckiej 41. Jasnem jest, że Zarząd Gminy winien energicznie zająć się tą sprawą".

Niestety, zryw lokatorów nie przyniósł żadnych efektów. Zamiast specjalnego zebrania Rady Gminy w sprawie ratowania budynku odbyło się specjalne zebranie w sprawie najścia, co nie poprawiło stanu kamienicy. O jej ciągle pogarszającej się kondycji świadczą kolejne dokumenty służb budowlanych. Wstrząsający w swej wymowie jest np. protokół z września 1937 roku. Komisja Inspekcji Budowlanej Wydziału Spraw Społecznych i Policji, stwierdziła znaczne pęknięcia we wszystkich ścianach zewnętrznych budynku frontowego, świadczące o jego osiadaniu. Schody drewniane zagrażały bezpieczeństwu pożarowemu. Balkony posiadały przegniłe pomosty i przerdzewiałe balustrady. Konstrukcja dachu zmurszała i przegniła. Stwierdzono także antysanitarny stan podwórza i ustępów, zagrażający zdrowiu korzystających z nich ludzi. Komisja postawiła kolejny wniosek o eksmisję lokatorów i rozbiórkę domu. Dlaczego i tym razem do niej nie doszło, wyjaśnia Mosze Waszą:

„W 1937 roku Magistrat ogłosił, że na Krawieckiej 41 dom grozi zawaleniem. Przyszła policja i wyrzucili nas. Każdy, kto miał choć parę groszy, odszedł. Kto nie miał, został. Myśmy zostali i jakieś osiem innych rodzin. Do podwórka kamienicy przytykał ogród i łąki. Ktoś tam sobie zbudował pałatkę, inny szałas. Czekaliśmy, czy ten dom się zawali. Nie zawalił się, więc weszliśmy z powrotem bez pozwolenia."

Kolejna próba eksmisji dzikich lokatorów miała miejsce w 1938. Gmina przeznaczyła na ten cel 4 tys. zł. Dodatkowo zagwarantowano 1,3 tys. zł na utrzymanie budynku. Ponieważ jednak uzyskano jedynie 57,6 proc. zaplanowanych w preliminarzu dochodów, czyli 140 040,47 zł a wydano 198 702,78 zł, konieczne były ograniczenia, które dotknęły m.in. dom przy ul. Krawieckiej 41. Co prawda na jego utrzymanie (pensję dozorcy, remont, podatki) przeznaczono kwotę wyższą niż pierwotnie zakładano (1 461,30 zł), ale obcięto fundusze na usunięcie lokatorów. Fragment *Sprawozdania Zarządu Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Lublinie za rok 1938* świadczy jednak, że decyzja o eksmisji nie została anulowana:

„Największych zmartwień przysparza dom na Krawieckiej 41, gdzie Magistrat w swoim czasie skierował dziesiątki wyeksmitowanych rodzin z zagrożonych domów na Krawieckiej. Obecnie grozi temu domowi katastrofa i Gmina została zmuszona wystąpić sądownie przeciwko Magistratowi jako współodpowiedzialnemu za wprowadzenie

Przeważała tematyka regionalna, dotycząca samego Lublina i innych miast Lubelszczyzny. M. Fuks, *Prasa Żydowska w Lublinie i na Lubelszczyźnie (1918-1939)*, w: „Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego" 1979 nr 4/112, s. 53-56.

Fragment zdjęcia lotniczego ze zbiorów WBP im. H. Łopacińskiego. Pod skrzydłem widoczny budynek przy Krawieckiej 41, obok wlot ul. Wąskiej („Wąską" nazywano obiegowo również bardzo wąską uliczkę będącą przedłużeniem Cyruliczej do Szerokiej).

obecnych lokatorów. Ostatnio Gmina doszła do porozumienia z Magistratem, że lokatorzy, którzy muszą co do jednego opuścić zagrożony dom, otrzymają jednorazowe zapomogi, aby mogli znaleźć sobie nowe lokum”[2].

W lipcu 1939 roku władze miejskie podjęły ostatnią próbę wyprowadzenia lokatorów z budynku. Tym razem jednak moc nakazów złagodziła, prawdopodobnie, zbliżająca się szybkimi krokami wojna i lokatorzy pozostali w rozwalającej się kamienicy do sierpnia 1941, kiedy to, na rozkaz hitlerowców, kamienica została rozebrana, a jej mieszkańcy rozproszeni, dokwaterowywani do innych domów i przytułków dla uchodźców. Społeczność lokatorska z Krawieckiej 41 przestała istnieć.

Niektórym lokatorom ul. Krawieckiej 41 udało się uniknąć zagłady. W październiku 1939 roku uciekł z Lublina, na tereny zajęte przez Armię Czerwoną, Mosze Waszg, który wcześniej dwukrotnie wymykał się Niemcom z łapanek do pracy. Zostawił w mieście matkę i rodzeństwo, ale zabrał świeżo poślubioną żonę Hanę. Oto fragment jego relacji:

„Poszedłem się żegnać z siostrą i powiedziałem – Więcej tu już nie będę. A szwagier odrzekł – Dobrze robisz. Nie masz co siedzieć tutaj. Uciekaj. Matka nie chciała jechać, bo brat i siostra zostali, powiedziałem więc do ojca Hany, że uciekam, a ona na to – Ja uciekam z nim. Nie byliśmy jeszcze małżeństwem i ojciec Hany powiedział – Jak chcesz jechać, weź ślub. W sobotę wieczorem wzięliśmy ślub, a rano wyjechaliśmy. To była sobota, w tydzień po świętach Kuczki[3], Szabes Barajsiesz[4]”.

Opowieść męża uzupełnia Hana Waszg:

„Ślub był u mnie w domu przy Ciasnej 9, boczna Bonifraterskiej. Przyszedł rabin, przeczytał, napisał, podpisał i do widzenia. Byli tylko członkowie rodziny, dziesięć osób. Gdzie to może być radosny ślub, kiedy nie można gości zaprosić i kiedy trzeba wyjść przed dziewiętnastą. Byłam najstarsza z rodzeństwa, miałam pięciu braci. Najstarszy miał wtedy 17 lat, najmłodszy dwa i pół roku. Jak się pożegnałam z ojcem, to postawiłam na stół tego małego, a on prosił – Nana, nie idź, nie odchodź. A ja ich wszystkich zostawiłam... Prosiłam ojca, żeby wziął dzieci, żebyśmy pojechali razem. – Nie. Gdzie ja będę się błąkał z dziećmi? – odpowiedział. Kto wiedział, co się stanie”.

Opowieść kontynuuje Mosze Waszg:

„W niedzielę rano [8 października] uciekliśmy przez dzielnicę Piaski do Chełma. Byli tam przewodnicy, którym się płaciło za to, że wiedzieli, którędy i kiedy można stosunkowo łatwo przejść przez Bug. Zapłaciliśmy i zostaliśmy zaprowadzeni do chaty jednego Polaka, skąd łódkami zostaliśmy przewiezieni na drugi brzeg. Niemcy zaczęli strzelać, jak myśmy już byli po drugiej stronie. Przespaliśmy się w stodole, byli z nami jeszcze jacyś dwaj bracia i małżeństwo, a rano spotkaliśmy ruską straż pograniczną. Zaaresztowali nas i zawieźli do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie spędziliśmy kilka miesięcy, śpiąc w szkole na podłodze. Potem wywieźli nas na Sybir”[5].

Decyzja o ucieczce, podjęta jesienią 1939 roku, pozwoliła Waszgom przeżyć wojnę. Dzięki temu można dziś odtworzyć dzieje lokatorów nieistniejącej już kamienicy. Można, pod warunkiem, że Mosze Waszg będzie miał dość sił, by powspominać.

– To opowiadanie... tak ciężko na sercu... – wzdycha i przerywa rozmowę.

A ja rozumiem już, dlaczego tamta przeszłość tak rani. Dziś Mosze Waszg, nobliwy, starszy pan, mieszka razem z żoną Haną w centrum Tel Awiwu. Prowadzą ustabilizowany żywot ludzi na emeryturze. Są dumni z dwójki swoich dzieci. Radość i pociechę przynosi im pięcioro wnucząt.

[2] *Sprawozdanie Zarządu Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Lublinie za rok 1938*, w: *Żydzi w Lublinie*, red. Tadeusz Radzik, t. II, Lublin 1998, , s. 374. i n.

[3] Święto Sukkot (Święto Kuczek) – obchodzone jest w diasporze przez 9 dni. Przypada na jesieni po zebraniu plonów z pól, sadów i winnic. Charakteryzuje je wesołość i radość ze zbiorów oraz modlitwy o deszcze i bogate plony w roku następnym. Z okazji święta budowane są szałasy (tzw. sukki), co ma przypominać wyjście Izraelitów z Egiptu i ich wędrówkę przez pustynię. W szałasie spożywa się posiłki, a ortodoksyjni Żydzi pozostają w nim nawet na noc, co jednak nie jest obowiązkowe w chłodniejszym klimacie. Zob. *Kalendarz żydowski 1986-1987*, s. 26.

[4] Szabat Bereszit (Mosze Waszg użył tutaj formy w języku jidysz) – pierwszy szabat po Święcie Sukkot, kiedy zaczyna się nowy roczny cykl czytania Tory w synagodze. W 1939 roku przypadał w sobotę 7 października. Dz. cyt.

[5] Hana i Mosze Waszg na początku 1940 roku deportowani zostali na Syberię, gdzie przebywali 18 miesięcy. Po zwolnieniu wyjechali do Kirgizji. W 1942 roku Mosze Waszg wcielony został do Armii Czerwonej, a od 1943 roku znalazł się w szeregach I Armii Wojska Polskiego. Do Lublina przyjechał w kilkanaście dni po wyzwoleniu miasta. Hana Waszg została wypuszczona z ZSRR w 1946 roku. Małżeństwo spotkało się ponownie w lipcu 1946 roku w Kielcach, w tragicznych dla siebie okolicznościach. W maju 1950 roku wyjechali do Izraela. Mieszkają obecnie w Tel Awiwie. Relacja w zbiorach autora.